ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VIII. Warszawa, dnia 2 września 1916 roku. № 36.

HAJOTA. Nowela

PASEMKO.

Miasteczko R. ma Janusowe oblicze.

Od północy wyboista, w najskwarniejsze tylko lato wysychająca, nędznemi, obdrapanemi domkami zapchana uliczka prowadzi w rynek, pełen kramów, sklepików, żydowstwa, zaduchu, szwargotu i rozpaczliwej brzydoty; natomiast z południowej strony wszystkie te właściwości małych mieścin znikają, jakby je stąd jakaś dobroczynna wróżka porządku i estetyki wygnała.

Wzdłuż szerokiej, dobrze utrzymanej, młodemi kasztanami wysadzonej drogi wznoszą się dwa szeregi ładnych, drewnianych domków; każdy z ganeczkiem, upiętym w dzikie wino, każdy z pomalowanemi na zielono okiennicami, które tworzą pogodne, orzeźwiające plamy na tle białych, żółtych i różowych ścian.

Z po za przejrzystości sporych szyb bielą się czyściutkie muślinowe firanki i płoną koralowe bukiety pelargonii.

Każdy dworek posiada też ogródek, otaczający go dokoła, a w ogródku młodziutkie, widocznie niedawno sadzone akacye i wiśnie, rabaty nie wytwornych ale wdzięcznych kwiatów. Nad jaskrawemi główkami nasturcyi bujają tam czarne malwy i różowe ślazy, a rezeda i matiola roznoszą wieczorem upajające wonie.

Te dworki, to letniska.

Z chwilą, gdy odnoga kolei żelaznej połączyła ten zapadły kąt z głównemi arteryami komunikacyi w kraju, miejscowy doktór, człowiek wielkiej energii i obywatelskiej inicyatywy, powziął myśl spożytkowania w ten sposób wybornych klimatycznych warunków i malowniczego położenia miasteczka, zwłaszcza od tej południowej strony, gdzie wartko jak potok płynąca rzeka dostarczała przepysznej kąpieli, a sąsiedztwo olbrzymich borów nasycało atmosferę ozonem i jędrną wonią żywicy, stanowiąc przytem błogosławioną osłonę od wiatrów.

Kilku zamożniejszych mieszczan dało się namówić do wprowadzenia w czyn pomysłu doktora, ściśle według jego planów i wskazówek, a wynik przeszedł oczekiwania.

Po paru latach letniska w R. zjednały sobie rozgłos na całe dwie gubernie. Mniej zamożni kupcy i urzędnicy, których nie stać było na „bady", zaczęli wysyłać tu rodziny swoje na wakacye, a trafiali się i goście z Warszawy, znęceni taniością tych siedzib, ich niezwykłą schludnością i ułatwionym dojazdem. To też z roku na rok przybywały nowe dworki, z coraz większem uwzględnieniem hygieny i estetyki budowane, lecz zawsze nizkie i skromne, bo dla ludzi potrzebujących ściśle rachować się z groszem przeznaczone.

Doktór-inicyator, który marzył o wzniesieniu tu z czasem uzdrowiska o charakterze dyskretnie filantropijnym, czuwając nad zdrowotnością już istniejących letnisk, przestrzegał pilnie, by jakaś pretensyonalna willa nie popsuła harmonii tego prostego zacisza.

W piękny, wrześniowy dzień, na parę godzin przed zachodem słońca, z jednego z takich dworków wyszła kobieta i ścieżką wskroś łąki wydeptaną skierowała się ku porastającej małe wzgórze sośnince.

Na tle czystego jak turkus nieba i złocistych rżysk, podbiegających aż het, daleko pod ciemną ścianę olbrzymiego boru, którego owa sośninka była jakby kapryśnym wypryskiem, postać idącej szybko kobiety rysowała się z dokładnością ruchomej rzeźby, w liniach szlachetnych i smukłych.

Ubrana bardzo skromnie w kretonową, popielatą suknię, miała na głowie z takiegoż samego, taniego materyału budkę, która głęboko na twarz zachodząc, dozwalała widzieć tylko dolną część zaróżowionych od szybkiego ruchu policzków o szczupłym owalu i rozchylone nieco, drobne usta. Raz po raz z pod kretonowych falban połyskiwał ciemny szafir oczu w oprawie długich, czarnych rzęs, gdy podnosząc je, obejmowała przeciągłem spojrzeniem roztaczający się przed nią pogodny, lecz pomimo złota, błękitu i zieloności nasycony już cichą melancholią jesieni krajobraz.

Na jednej ręce niosła przewieszony pled, w drugiej książkę i widocznem było, że dąży do jakiegoś ulubionego i często odwiedzanego miejsca.

Jakoż na samym prawie skraju borku, gdzie falistość piaszczystego gruntu tworzyła jakby naturalną kanapkę, gęstwą liliowych wrzosów porośniętą, stała śliczna brzózka o rozdwojonych w kształcie litery U srebrzystych konarach, stanowiących jakby umyślne dla pleców oparcie. Dwa młode chojaczki, niby dwie zielone piramidki, trzymały straż po obu stronach.

Zacisznie tu było, wonno, i widok, na szeroką przestrzeń otwarty, ukazywał oczom całe miasteczko, błyszczącem ramieniem rzeki opasane, żółty nasyp kolejowy, pełznący nad omglonemi zlekka płaszczyznami pól i łąk, niby potworny wąż, podwój-

nie stalą pręgowany, a nieco z boku na wzniesieniu, jak świeżo zatknięty sztandar cywilizacyi, czerwonością nietynkowanych cegieł rozgorzały, dziwnie szpetny i nagi budynek stacyjny. Kobieta położyła pled na wrzosach, sama osunęła się na to elastyczne posłanie z rękoma wyciągniętemi wzdłuż ciała, w postawie ku przodowi podanej, i czas jakiś pozostała tak nieruchomo.

Widocznie teraz, gdy doszła do celu, zstąpiło na nią nagłe, przemożne znużenie, właściwe organizmom bardzo życiowo wyczerpanym i tylko pod wpływem jakiejś nerwowej podniety zdobywającym się na przejściową sprężystość.

Równocześnie i powierzchowność jej uległa raptownemu przeobrażeniu.

Idąc, smukła, lekka i prosta, miała sylwetkę dziewczęcia; teraz zaś, gdy zdjęła budkę i odsłoniła głowę, o włosach bujnych, lecz jakby przysypanych popiołem, na skroniach zupełnie białych i tylko w skrętach bogatego węzła na karku piękną, kasztanowatą barwą gdzie-niegdzie przebłyskujących, gdy wywołana ruchem różowość cery ustąpiła miejsca żółtawej, zwiędłej bladości, oczy przygasły, a usta zamknęły się boleśnie ku dołowi zwieszoną linią, przeciągając i szpecąc owal twarzy, sprawiała w tym bezwładzie przygiętych ku ziemi pleców wrażenie prawie staruszki.

Zapewne prawda co do wieku tej kobiety leżeć musiała po środku, bo kiedy po niejakim czasie, z odrętwienia się wyrwawszy, jedną ręką szybko sięgnęła po książkę, a drugą powiodła po czole, ruch ten strząsnął z niej pozory zgrzybiałości, jakgdyby tam właśnie, pod czaszką, tkwiło jej źródło, z rozpadliny gorzkich doświadczeń i ciężkich myśli wyciekające.

Wyprostowana znowu, plecy w rozwidlenie brzozy wtuliwszy, zaczęła czytać.

Było coś szczególnego w jej sposobie trzymania książki. Nie czytała tego, jak zwykły czytelnik, dla którego taki blok zadrukowanego papieru pełni jedynie rolę koniecznego pośrednika pomiędzy autorem a nim i często męczy i niecierpliwi swym ciężarem, lecz obu dłońmi obejmując brzegi sporego tomu, tuliła go do piersi niemal miłośnie, serdecznie, jakgdyby to była jakaś żywa istota, przyjaciółka jedyna, najwierniejsza towarzyszka i osłoda życia.

I rzeczywiście błogosławiony wpływ tej przyjaciółki i towarzyszki uwydatnił się niezadługo w twarzy i postaci czytającej kobiety.

Książka, zalewając jej mózg potokiem cudzych myśli, niewątpliwie pięknych i ciekawych, niosła jej widocznie zapomnienie myśli własnych, co bywa największem dobrodziejstwem dla ludzi samotnych i nieszczęśliwych, bo stopniowo rysy jej, niewysłowioną, beznadziejną udręką ściągnięte, wygładzały się, a wyraz cichego ukojenia unosił w górę kąciki drobnych, ślicznie wykrojonych ust.

W obramowaniu sztywnej zieleni chojaczków, tworzących po obu bokach wrzosowej kanapki niby poręcze staroświeckiego sprzętu, pod rozdygotanym leciutko baldachimem brzozowych gałązek sylwetka jej nabrała znów młodzieńczego wdzięku zagłębionej w fotel pradziadka kasztelanki.

Dalszy ciąg nastąpi.

STEFAN KIEDRZYŃSKI. Nowela.

Przerwana idylla.

5

Morawski tymczasem szukał „trójki", które przeważnie trzymał z tryumfującą miną proboszcz. Uśmiechał się też zwycięsko i mruczał pod nosem:

— „Uciekła mi przepióreczka w proso"... Cha, cha — panie święty. „A ja za nią nieboraczek boso" — To oznaczało, że jest pewny wygranej.

— Mam — rzekł nagle Morawski, znalazłszy „trójkę" z „czwórką", ale zabrawszy przedtem prawie wszystkie domina. Dostawił kamień odpowiedni, mówiąc:

— Właśnie myślę, że nie za wiele tego czasu...

Dziewczyna tymczasem śpiewała ulubioną piosenkę proboszcza:

„Ja pójdę górą, ja pójdę górą —
„A ty doliną"...
„Ty będziesz księdzem, ty będziesz księdzem
A ja zakonnicą —

— A ja zakonnicą — zanucił mimowoli proboszcz — i odsunął nagle kamienie, uszykowane już do nowej partyi.

W tej chwili właśnie księżyc przedarł się przez zwoje gałęzi i rzucił snop niebieskawych, zimnych promieni na pół werandy.

W srebrzystym świetle zabieliła twarz proboszcza, jak wynurzona z morza głowa topielca. Miał przymknięte oczy i zsunięte brwi w zamyśleniu. Zapewne przypomniał sobie niespodziewanie jakieś dalekie, minione dzieje, które w ciszy letnej, księżycowej nocy — przychodzą wskrzeszone tęsknotą i snują się koło serca, ciche upiory minionych lat!... Nagle zapytał, nie poruszając się z miejsca.

— Czas — dlaczego?...

— Tak przypuszczam! Czy nie słyszysz proboszczu, jak śpiewa?... Dodał po chwili. — To nie jest śpiew obojętności. Może się kocha? Może tęskni za kim, kogo tu niema! A może tylko zrozumiała, dlaczego została stworzona.

— Ażeby Boga chwaliła—rzekł proboszcz poważnie.

— „Żyjcie i rozmnażajcie się"— powiedział Chrystus.

— To też ja jej tam nie myślę namawiać do zakonu — odpowiedział ksiądz pospiesznie, jakgdyby obawiał się sam tej możliwości. — Ale biedna panna nie łatwo znajdzie amatora.. Każdy się zaraz pyta: gdzie posag? A jak niema — to i jego niema!

— Ja właśnie myślałem o tem— szepnął Morawski. — I wiesz co, proboszczu, ktoby o tem nie myślał i pokochał...

— Kto taki?

— Piotruś — rzekł starzec nerwowo, układając kamienie. — Widząc to, księżyna poruszył się i wprawnym ruchem dłoni zagarnął 7 kamieni.

— Gramy?...

Morawski skinął głową i dodał, jak przez łzy:

— Kochany chłopiec.

Zaczęli znów grać w milczeniu, układając domina w dziwaczny, głupi i powykręcany deseń. Cichy, gorący wieczór, przepojony zapachem kwiatów, obejmował ich, jak uściskiem ramion. W pobliskich kałużach żaby skrzeczały coraz głośniej, może zdziwione przedziwną jasnością, bijącą od wielkiej łodzi księżycowej, płynącej po niebie, lśniącem od gwiazd. Cały ogródek plebanii zdawał się drzemać, jak ukryte ptaki między gałęziami drzew. Czasami przechodził go dreszcz, ustawał, i szeleścił liśćmi wiatr, poruszając gałęzie, budząc na chwilę do życia i znów opadał w omdlenie snu, dysząc gorącym zapachem, nie ugaszonym jeszcze przez chłód wieczorny. Brzęczące dźwięki starego fortepianu-pudła — pożal się Boże — spadały poprzez okno otwarte — i snuły się między drzewami, płynąc w dal mroczną aż do wiejskich, białych w świetle księżyca chałup, wzniecając trwogę podziwu w kundlach-stróżach, poszczekujących ustawicznie.

Morawski, nieco rozmarzony, odsunął wreszcie domino i powiódł wzrokiem po ogrodzie. Przypomniał

sobie swój dawny park, po którym razem z żoną spacerował tak często podczas letnich, księżycowych nocy. Piotruś miał wówczas półtora roku. Chodzili, trzymając się za ręce, poprzez szerokie ścieżki, na których drżała koronka cieni, padających od liści i drobnych gałęzi. Były to chwile rozkoszne, pełne cichej miłości i przywiązania. Morawski, pamiętając o tem, czuł przejmujący żal, targający sercem. Ilekroć przychodziły godziny wieczoru, tak bardzo podobne do owych minionych, prześnionych w szczęściu chwil, obok ukochanej, starzec tonął w marzeniach, omdlewając z tęsknoty. Stary, poczciwy proboszcz, chociaż znał dzieje jego miłości, nawet nie domyślał się, jak często jego partner z domina daleki jest od jego uwag, żartów i całego życia, otaczającego ich obu. I teraz również zdawał się zapominać, że siedzi na werandzie naprzeciw proboszcza, że grał z nim przed chwilą i rozmawiał o rzeczach obojętnych. Mgła przejmująca głębokiego smutku, jak ciężki deszczowy obłok, padła na serce starca. Przymknął oczy, przechylił głowę w tył i milcząc ćmił fajkę, nie zdradzając najmniejszej chęci do rozmowy — tymczasem księżyna się niecierpliwił. Ustawiał domki z kości domina, burzył i znów ustawiał i tak w koło. Wreszcie zapytał:

— Cóżeś taki smutny?

W chwilach poważnych, a zwłaszcza pod wpływem serdeczności mówił mu ty i uważał go za przyjaciela.

— Piękny wieczór — odpowiedział Morawski szeptem.

Na werandzie ukazała się biała postać Hani. Była smutna i rozmarzona, jak oni obaj. Usiadła obok proboszcza i podparła głowę na splecionych dłoniach. Siedzieli tak długą chwilę w zupełnem milczeniu, zasłuchani w rechot żab i dalekie naszczekiwanie psów. Pierwszy rzekł Morawski, zwracając się do niej:

— Ślicznie pani dzisiaj grała, panno Haniu.

— Ech! Fortepian taki klekot! — odpowiedziała lekceważąco, co trochę ubodło proboszcza.

— Nie jesteś Paderewskim — rzekł. — Dla ciebie i taki dobry.

Nie odpowiedziała nic, tylko westchnęła, zakrywając całą twarz dużemi, białemi dłońmi. Jeden Morawski zrozumiał ten cichy okrzyk serca dziewczyny.

— Trzeba mieć nadzieję — rzekł cicho, jakgdyby pocieszał ją, że kiedyś zostanie Paderewskim.

Tak też to zrozumiał księżyna, bo dodał, pragnąc osłabić swoje pierwsze zbyt ostre powiedzenie.

— Musisz jednak pracować. Więcej grywać, to konieczne!

Dziewczyna odjęła od twarzy ręce i spojrzała na proboszcza prawie z politowaniem.

— Nie będę wirtuozką — rzekła — Wreszcie nie o to chodzi!

— A o co? — zapytał proboszcz, patrząc na nią uważnie.

— O nic!... Tylko, że taki wieczór... — Zawahała się i nie dokończyła zdania. Dopiero po chwili dodała, podchodząc do balustrady:

— Dziwnie na mnie działa. Chciałabym płakać, ale tak, żeby nikt nie widział i nie słyszał.

— Pomódl się — rzekł proboszcz, mając w swoim repertuarze kilka rad na wszystkie ludzkie cierpienia.

— Czyż to co złego? — zapytała dziewczyna.

I nagle, nim proboszcz zdążył jej odpowiedzieć, wydała ostry krzyk przerażenia. Morawski zerwał się, przestraszony jej trupią bladością. W tej chwili z pod werandy zamajaczyła postać młodego mężczyzny i rozległ się jego męski, miły głos:

— Niech się pani nie obawia. Ojcze, to ja!

— Piotruś! — zawołał, blednąc ze wzruszenia Morawski. Starzec zdawał się nie wierzyć własnym oczom. Ręce mu drżały, kiedy brał syna w ramiona i przyciskał do piersi, szepcąc niezrozumiałe jakieś słowa, brzemienne radością, gorące miłością, padające w zduszonym szlochu i w pocałunkach, składanych na głowie Piotra. Dopiero po chwili, kiedy przywitał się z proboszczem i z ciągle dziwnie wzruszoną Hanią — Morawski posadził go koło siebie i patrzał zamglonym od łez wzrokiem na jego bladą, chudą twarz.

— Skąd się tu wziąłeś tak nagle?

— Chciałem ojcu zrobić niespodziankę — odpowiedział. — Dostałem urlop i przyjechałem pierwszym pociągiem. Nie zastawszy w domu, domyśliłem się, że ojciec jest u księdza proboszcza — i przyszedłem. Przyszedłem prędzej, ale zdaleka usłyszałem, że ktoś tu grał na fortepianie i śpiewał. Zatrzymałem się... i słuchałem długo.

— To moja siostrzenica—rzekł proboszcz, nie bez odcienia dumy.

— To było bardzo ładne—rzekł Piotr, patrząc na nią. — Nie wiedziałem, że pani ma talent.

— Nie wiedziałeś nic — rzekł z uśmiechem Morawski. — Wszakże nie znasz naszej gosposi?

— To prawda — zawołał pospiesznie Piotr, a Hania cofnęła się nagle w ciemny kąt werandy, do którego promienie księżyca jeszcze nie dochodziły.

Wkrótce za jej staraniem zjawiła się przed Piotrem potężna porcya zsiadłego mleka, potem kawał pieczonej kaczki, a na deser pierogi z jagodami, z czem zresztą gość prędko sobie poradził. Morawskiemu pilno było do upragnionej, cichej, szczerej rozmowy z synem, na którą czekał tak długo. Był oszołomiony jego niespodziewanym przyjazdem i naglił go do pospiechu. Tymczasem Piotr, jakby umyślnie, jadł wolno i patrzał na Hanię wzrokiem, który wydawał się proboszczowi zbyt poufnym i wymownym, a przedewszystkiem dosyć dziwnym. Spojrzenia Piotra, czasem gorące i wyraźne, chwilowo gasły i wówczas oczy młodzieńca obojętniały nagle i czas jakiś nie zwracał na nią uwagi.

Wówczas dziewczyna wstawała w milczeniu i przechylała się na ogród, błądziła wzrokiem po mrocznych alejach, lub śledziła lśniące w smugach księżycowego światła, drobne kwiaty na grządkach. Wtedy Piotr zdawał się nie rozumieć, co do niego mówiono. Pytał się po kilka razy, prosząc o powtórzenie zadanego pytania, lub zmieszany, plątał się w odpowiedziach. Wreszcie Morawski zauważył, że dziewczyna uczyniła silne wrażenie na wrażliwej naturze Piotra, i spłonął radością ukrytą, tembardziej, że Hani zachowanie zdawało się potwierdzać jego przypuszczenia i co do jej osoby również. Uśmiechnął się z pobłażaniem, a proboszcz, który również pochlebiał sobie w znawstwie dusz ludzkich, miał to samo przekonanie, więc rzekł umyślnie głośno i z naciskiem:

— Niech no panna Hania tak nie ucieka od towarzystwa i nie chowa się po ciemnych kątach, bo Piotruś nie jest smok, tylko grzeczny kawaler!

Dziewczyna nie odpowiedziawszy słowa usiadła cicho. Piotr zaś pospieszył z załagodzeniem sytuacyi.

— Panna Hania napewno mnie się nie boi. Przeciwnie, może właśnie obmyśla jakąś torturę.

Proboszcz i Morawski roześmieli się jednocześnie, spojrzawszy na jej twarz obrażoną i zdziwioną bez granic. Lecz nagle dziewczyna zupełnie niespodzianie opuściła głowę i wybuchnęła płaczem.

Był to szloch cichy, rozrywający piersi, wydzierający się krzykiem rozpaczy z serca. Piotr pobladł i zamilkł, jak również i Morawski, który wstał jednocześnie, chcąc się do niej zbliżyć. Ale Hania zerwała się z krzesła i tłumiąc płacz chustką, wybiegła na ogród, tonąc w jego mroku. Zostali sami. I wówczas jednocześnie dwie pary oczu, cztery, badawcze, niespokojne źrenice spoczęły na twarzy Piotra. Lecz młodzieniec milczał zmieszany, pobladły ze wzruszenia. Nie czekając pytania, a może tylko za wyraźne pytanie uznawszy ich wzrok, rzekł, siląc się na spokój:

— Doprawdy, nie rozumiem, co to znaczy.

— Idę ją poszukać — zawołał wtedy Morawski.

— I ja — rzekł proboszcz.

— Idziemy wszyscy — dodał Piotr pospiesznie, wstając od stołu. Wszyscy wyszli do ogrodu i stanęli bezradnie przy werandzie, rzucającej długie cienie na zalaną księżycowem światłem ścieżkę. Proboszcz, nie namyślając się długo, zaczął wołać na cały głos, uderzając jednocześnie o pień pobliskiego drzewa.

— Haniu! Haniu! Haniu!

— Pójdę ją poszukać — zawołał nagle Piotr i nie czekając na odpowiedź, rzucił się w pierwszą lepszą poprzeczną alejkę. Ogród znał dobrze, często bawiąc się w nim za czasów swego dzieciństwa, a potem przesiadując w nim godzinami. Wiedział, że w pewnem miejscu jest furtka, przez którą wychodzi się na niewielką polankę zarosłą gęsto krzakami olszyny, tam też się skierował, idąc prędko, nie zwracając uwagi na nizko wiszące gałęzie, chwytające go za włosy, drapiące twarz i ręce. I nie zawiodło go przeczucie. Wyszedłszy za ogród, zobaczył już zdaleka białą plamę jej sukni, srebrzącej się na tle ciemnych drzew. Wówczas, nie patrząc za siebie, podbiegł i chwycił ją za ręce, przycisnął do piersi i bez słowa zaczął całować jej usta, spłakane oczy i całą dyszącą, białą twarz.

— Trusia... -- wyszeptała dziewczyna przez łzy. — Trusia, to ty? To ty, mój drogi, mój miły!

— Ja — odpowiedział cichym szeptem. — Ja...

— A tamta? — spytała nagle.

— Nie istnieje...

— Tak, jak wtedy?

— Och, nie! — zawołał z przejęciem. — Nigdy do niej nie wrócę, bo wrócić bym nie mógł! A zresztą nie wspominaj mi o niej. Po twoim wyjeździe myślałem tylko o tobie, o tobie, moja jedyna ptaszyno... — Przycisnął jej ręce do ust i zaczął szeptać raz po raz, muskając ustami jej białą twarz:

— Kocham cię, kocham cię bardzo!

Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję, szepnęła ustami przy ustach:

— I ja ciebie kocahm, mój jedyny.

W tej właśnie chwili rozległ się znowu niespokojny głos proboszcza. Głos rozległ się bliżej i dźwięczał trwogą.

— Haniu! Haniu!

— Ojcu i proboszczowi ani słowa — rzekł ostrzegawczo Piotr. — Będziemy się widywali w tajemnicy.

— No naturalnie — odpowiedziała, przyciskając jego rękę do piersi. — Wuj byłby bardzo zgorszony, gdyby się dowiedział, że my się całujemy — i korzystając z okoliczności, że proboszcz i Morawski plątali się jeszcze między olszyną, objęła rękoma jego szyję i przycisnęła usta do jego ust.

— Kochasz mnie? — szepnęła.

— Och tak!

— Bardzo?

— Całą duszą!

— I nie wrócisz do tamtej?

— O bądź pewna.

Przylgnęła ustami do jego ust i pozwoliła się całować, drżąc w jego ramionach, upojona szczęściem i pełna rozkoszy.

Tymczasem nadszedł Morawski a z nim proboszcz, sapiąc ze złości i zmęczenia. Na ich widok Piotr odsunął się nieco od Hani i zaraz zaczął półżartem tłomaczyć jej kaprysy, które były powodem, że obraziła się na niego za wzmiankę o torturach.

Dalszy ciąg nastąpi.

Zbrodnia na Powiślu.

(Z kinematografu życia wielkomiejskiego).

Obraz pierwszy.

Scenerya niewymyślna: Dwa symetryczne rzędy wielopiętrowych kamienic, wązką szyją wyrastające z szerokiego tułowia głównej arteryi komunikacyjnej. Pospolita przecznica wielkiego miasta:

Późny wieczór. Od głównej ulicy raz po raz wymyka się sylweta zapóźnionego przechodnia, biegnącego szybko przed siebie. Na jego spotkanie, jak z pod ziemi, wyrasta za każdym razem ciemna, skulona postać: to młody chłopiec, nędznie ubrany, o zbiedzonej twarzy, litosnym ruchem lewej ręki żebrze jałmużny. Prawą przyciska do piersi przedmiot jakiś, brudną szmatą obleczony, prawdopodobnie — żyjący... Dziecina nie krzyczy, ani piśnie, nie poruszy się nawet — najpewniej śpi, zgłodniała...

Wzruszony widokiem, obdarza przechodzień chłopca datkiem; za tym przykładem idzie drugi i trzeci...

Ale czwarty z kolei przystaje, zagląda chłopcu bacznie w oczy i grożąc palcem, coś peroruje...

Chłopiec sumituje się gorąco.

— Zgubiłem, pszejaśnie, adres tego komitetu i te dwie czterdziestki, co mi jaśnie pan wczoraj — — —

Przechodzień udobruchał się i już po krótkiej chwili ponownie sięga do portmonetki.

— No, masz jeszcze raz pół rubla i kartkę z adresem, a nie zgub tym razem braciszka — — —

— Siostrzyczki — poprawia żałośnie chłopiec, tuląc zawiniątko do piersi...

— No, to marsz, chłopcze, do domu! Tylko zaraz! Późno już i zimno! Dzieciak ci się jeszcze przeziębi! A ile ma lat?

— Trzeci, pszejaśnie — — —

— To ruszaj, chłopcze, ruszaj...

Skulony gawrosz posłusznie skręca na prawo i znika w szerokiej gardzieli głównej ulicy.

. . . . . .

Obraz drugi.

W pół godziny potem, w innej już dzielnicy miasta, spotyka raz jeszcze litościwy przechodzień natrętnego chłopca.

— Pszejaśnie, jeszcze my dziś nic...— wyrasta nagle ku niemu, z pomroki zaułka, dłoń żebrząca...

Poznaje ją.

— A ty!... — rzuca się groźnie ku chłopcu wzburzony...

Ale wnet mięknie, udobruchany spojrzeniem błagalnem chłopca.

— To wszystko mało — skamle gawrosz serdecznie — na dziecko, na mnie, na ojców, na starą babkę, pszejaśnie...

Obywatel wzrusza się po raz trzeci i dodaje jeszcze pół rubla.

— No, masz, ale teraz już ruszaj naprawdę!...

Zatrzymuje jeszcze chłopca, odbiera mu pół rubla, daje rubla całego.

— A gdzie mieszkasz?

— Tam... — chłopiec wskazuje przestrzeń nieokreśloną przed sobą.

— To marsz! Marsz! Żebym cię już — — —

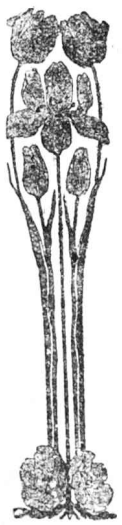

HENRYK JUSZKIEWICZ.

W MIEJSKIEM MIESZKANIU.

Godziny płyną. O, życie daremne!
Giną szeregi nieprzeżytych godzin
i żal mi słońca codziennych narodzin,
co oczom kradną mym pokoje ciemne.

Pokoje martwe. Tu w miejskiem mieszkaniu
biegną godziny — na tarczy zegara:
pełni się życia powszedniego miara
w ubogich przeżyć gasnącem mijaniu.

Jednak niekiedy — wiosną — o świtaniu
Duch tu zakwita płomiennemi kwiaty:
słońce czuję — — gwiazd widzę mrące światy
w pokoju mym — przy lampie — przy pisaniu.

Chłopiec w nogi.

Litościwy obywatel postał chwilę na miejscu, patrząc za odchodzącym, poczem ciekawość połączona z wzruszeniem podszeptuje mu myśl pójścia za chłopcem, zbadania, gdzie mieszka i jak mieszka, i może, kto wie, zajęcia się bliżej losem tych nieszczęśliwców...

Chyłkiem, by nie być spostrzeżonym, puszcza się litościwy obywatel wślad za szparko biegnącym chłopcem.

— Zdrowe ma nogi — stęka sobie obywatel, ale biegnie dalej.

Po czwartym czy piątym skręcie chłopiec zatrzymał się w ulicy dość odludnej i odległej od śródmieścia, stanął przy wysokim parkanie, rozejrzał się dokoła, poczem wspiąwszy się na palce, szmyrgnął z rozmachem zawiniątko przez parkan — aż jękło, upadając po tamtej stronie...

Z ust litościwego obywatela dobył się zdławiony okrzyk zgrozy.

— Jezus Marya!...

Chłopiec nie dosłyszał tego, bowiem w tym samym momencie zagwizdał był sobie jakąś wesołą melodyjkę i puścił się pędem z powrotem do miasta, przekradając się zręcznie tuż koło obywatela...

Ten, przeczekawszy chwilę i otrząsnąwszy się z pierwszego wzruszenia, pobiegł na najbliższy róg, zaalarmował straż bezpieczeństwa, poczem wraz z jej przedstawicielami wrócił spiesznie na miejsce zbrodni... Obudzili stróża posiadłości, dotarli do miejsca przestępstwa... Znaleźli *corpus* — — —

— No co? Żyje jeszcze??... — głęboko poruszony pyta obywatel, nie śmiąc podejść do samego miejsca...

— Śladu niema! Kupa gałganów, nic więcej!... — śmieje się na całe gardło posterunkowy, podnosząc do góry brudny kłąb pustego wewnątrz zawiniątka...

B. Gorczyński.

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

3

POWIEŚĆ.

Zachodzące słońce odbijało się w ich ciemnych oczach i błyszczących zębach, a oni szli niedbale, śmiejąc się i rozmawiając.

Jeden z nich, wyższy, piękniejszy niż inni, zarzucił ramię na szyję postępującego obok towarzysza i zwracał się profilem do drugiego z jakimś żartem na rozchylonych ustach — i to było wszystko, co zobaczyła Dora i w co się tak usilnie wpatrywała. Wtem skręcili w boczną uliczkę i znikli jej z oczu.

Kiedy Dora zeszła w poniedziałek rano do kwadratowego hallu, po którym przechadzały się poważnie śnieżne gołębie, ucho jej pochwyciło dolatujący z salonu jednostajny, lekki szelest splatanych mat, a nozdrze wciągnęły słodką, zapach świeżo skoszonego siana przypominającą woń daktylowych liści.

Uśmiechnęła się. Serce, które modny świat Jungpuru nazywał kamiennem, drgnęło pod koronkowym stanikiem; nie weszła przecież do salonu.

Zjadła śniadanie z ojcem, a nawet, gdy już generał odjechał, zwłóczyła jeszcze i wahała się, patrząc w zadumie na krążące u jej stóp gołębie.

— I po co tam iść i niepotrzebnie zaprzątać sobie głowę czyjąś pięknością — myślała i rozważała to pytanie w umyśle, tak pod pewnemi względami chłodnym i rozsądnym, a pod innemi tak wrażliwym i entuzyastycznym.

Ale szmer palmowych uplotów zdawał się ją kusić i zapraszać. Po pewnej chwili odsunęła zasłonę i weszła do salonu.

Chetai Wallah siedział, jak przedtem w alkowie, skromny, skulony, pracowicie splatający maty, a promień słońca oświecał, jak przedtem, jego wspaniały, szlachetny profil i lśniącą głowę.

Dla większej swobody ruchów zawinął długie, szerokie rękawy aż po ramiona i pracował z obnażonemi rękoma. A były to ręce tak piękne i kształtne, jak u młodego boga, gładkie, okrągłe, bez sterczących muskułów, a jednak znamionujące siłę i sprężystość; powleczone lśniącą, jak atłas skórą, której ciepły, bronzowy ton odbijał ślicznie od błękitnej barwy opończy.

Dora stanęła u wnijścia, ręka jej podtrzymująca fałdy zasłony opadła wzdłuż sukni. Cała była jakby we wzrok zamieniona. Nie miała ona natury zmysłowej i wzrastała w chłodnej, intellektualnej atmosferze. Jej zachwyt był też nawskroś estetycznego, w wyobraźni zrodzonego rodzaju.

Pathańczyk był przy robocie od ósmej, teraz była blizko dwunasta; przez cztery godziny spodziewał się i wyczekiwał przyjścia Dory z szaloną niecierpliwością.

Teraz, gdy nagle ujrzał ją wchodzącą, taką pogodną i chłodną, radosny okrzyk wydarł mu się z piersi i z tym okrzykiem wyciągnął do niej rękę.

Dora zdziwiona i oszołomiona tym namiętnym objawem radości a także poufałością jego ruchu, pochwyciła wyciągającą się do niej dłoń lewą ręką i uścisnęła ją, nie zastanawiając się nad tem, co czyni. W chwilę potem cofnęła rękę i zaczerwieniła się, przypomniawszy sobie, że Pathańczycy mają lewą rękę w obrzydzeniu i że podanie jej uważa się u nich za nieprzebaczalną zniewagę.

W tym samym momencie oczy jej padły na indyjską matę uplecioną z najdelikatniejszych włókien i przyozdobioną kolorowym, malowanym szlakiem, leżącą na podłodze obok chłopca. Domyślając się, że przyniósł ją albo na sprzedaż albo w podarunku, podniosła ją i zaczęła oglądać i chwalić.

Pathańczyk zabrał się znów do roboty.

— Weź ją—rzekł krótko. Dora, nie będąc pewną, co to ma znaczyć, zapytała, czy ją ma kupić?

— Nie, nie — rzekł Pathańczyk, wstrząsając głową, — *rukho buckshees* (weź ją w darze).

Dorę ujęło to dziwnie, że przyniósł jej podarunek, jedyny podarunek, na jaki go było stać—może wywdzięczając się za rupie, za które jej nie podziękował.

— Dlaczego nie przyszłaś wcześniej? — zapytał właściwym mu rozkazującym tonem — ja tu już jestem od dawna.

— Głowa mnie bolała — odrzekła Dora — i wstałam późno.

— *Uchcha, Uchcha.* (Dobrze, dobrze) — mruknął niedbale.

Dora zaśmiała się.

— Nie; to wcale nie „*Uchcha*", że mnie głowa bolała—rzekła, przybierając strofujący ton — to bynajmniej nie „*uchcha*" — i roześmiała się znowu.

Młodzieniaszek roześmiał się także, dziwnie srebrzystym, swobodnym śmiechem, który miał w sobie coś tak orzeźwiającego, jak łyk źródlanej wody w upalny dzień.

— Jakże ten śmiech różni się od tych konwencyonalnych, nieszczerych śmiechów, jakie słyszę dokoła siebie na balach i obiadach — pomyślała, i wsparłszy podbródek na dłoni, z zaciekawieniem przyglądała się Pathańczykowi.

Zamilkli oboje. Raz po raz indyanin rzucał na Dorę ukradkowe, wstydliwe wejrzenie; parokrotnie opuszczał ręce i topił w niej swe czarne oczy z jakimś nieśmiałym, pytającym wyrazem, poczem zwolna odwracał je i wpatrywał się w przestrzeń, machinalnie przesuwając w palcach palmowy skrawek.

Tuż obok alkowy, w której pracował, znajdowała się druga, mniejsza, wychodząca na ocienioną werandę i Dorze przyszło na myśl, że i tam trzeba dać świeże maty na podłogę.

Skierowała się więc w tamtą stronę i przechodząc koło siedzącego na ziemi wyplatacza, pociągnięta w nieprzeparty sposób jego olśniewającą pięknością, dotknęła ręką jego głowy w sposób, w jakiby to uczynił każdy artysta.

— *Bahut khubsurat hai.* (Jesteś bardzo piękny) — szepnęła, gładząc zlekka jego jedwabiste, krótkie kędziory, poczem przeszła do drugiej alkowy, by zobaczyć, czy tam istotnie potrzeba nowych mat. W tym celu uchyliła nieco żaluzye u drugiego, wychodzącego na werandę okna, inaczej byłoby tu zupełnie ciemno.

Maty były istotnie stare i zakurzone. Rzuciwszy na nie okiem, Dora zbliżyła się do drzwi i zawołała Pathańczyka; a on z głową przepełnioną myślami, od których piękna panna była o sto mil daleką, wstał i postąpił ku niej.

— Patrz — rzekła Dora, wskazując na podłogę — wymierz i tę alkowę. Chcę mieć i tu nowe maty.

Oczy miała spuszczone na podłogę. Pathańczyk postąpił ku niej parę kroków w milczeniu i nagle Dora uczuła się przyciśniętą do ściany, a gdy przerażona podniosła wzrok, ujrzała dwoje nagich ramion opasujących ją a tuż przy twarzy błysnęły jej równe, śnieżno białe zęby, które w tejże samej chwili pogrążyły się w jej policzku. Zdjęta panicznym strachem, wywołanym zarówno jego szalonym postępkiem, jak obawą o swą delikatną twarzyczkę, Dora odgięła głowę w tył, jak mogła najdalej, i oswobodziwszy sobie ręce, silnem pchnięciem w piersi odtrąciła od siebie Pathańczyka.

Zimny pot wystąpił jej na czoło; serce biło gwałtownie, czuła, że ją siły opuszczają, a rozszerzone trwogą oczy utopiła w twarzy Pathańczyka z wyrazem tak szczerej zgrozy i gniewu, że ramiona młodego indyanina opadły pokornie i puścił ją.

Cała drżąca, Dora przebiegła alkowę i weszła do salonu. Zrozumiała teraz, jak mylnie wytłómaczył sobie jej postępowanie.

To pieszczotliwe dotknięcie głowy i wezwanie do zacienionej alkowy przedstawiło się jego wschodnim pojęciom jako zachęta.

Na tę myśl fala gorącej, gniewnej krwi zalała twarzyczkę Dory; lecz był to gniew zwrócony przeciw sobie samej, że mogła być tak niemądrą i narazić się na podobne upokorzenie i wstyd. Jego winy w tem nie było.

Tymczasem Pathańczyk z niedbałą godnością wrócił do pierwszej alkowy i zabrał się znów do roboty.

„Kto zgadnie, czego kobieta chce" pomyślał i godząc się z koniecznością, usiłował ochłonąć z uniesienia.

Dora cieniutką chusteczką obtarła swój delikatny, różowy policzek, na którym powstały duże, ciemnoczerwone, bolące plamy, i wnet odzyskała zwykłą rozwagę umysłu.

Zapadło długie milczenie.

Dora stała u wyjścia alkowy, a krajowiec plótł maty, nie podnosząc oczu.

— Nie mam dla ciebie dziś pieniędzy — przemówiła wreszcie Dora łagodnie, myśląc, że może spodziewał się jakiegoś datku i że mu ten zawód sprawił przykrość. Nie poznała jeszcze dostatecznie charakteru ludzi Wschodu, aby wiedzieć, że przypisywana im miłość pieniędzy jest angielskim wymysłem.

Pathańczyk ściągnął brwi posępnie i mruknął:

— Mniejsza o to. Nie potrzebuję pieniędzy. Chcę cię pocałować.

Ostatnie słowo wymówił ledwo dosłyszalnym szeptem, któremu towarzyszyło przelotne, ukradkowe spojrzenie.

Dora zmarszczyła się i rzekła stanowczo:

— Nie wolno ci tego czynić. Powiedziałam, że jesteś bardzo piękny, bo to prawda; ale to nie powód, żebyś mnie całował.

Pathańczyk nic nie odpowiedział i pracował dalej w milczeniu, obrażony widocznie, a Dora wyszła z salonu, minęła jadalnię i drugi mniejszy salonik na lewo i znalazła się na ocienionej pachnącemi pnączami werandzie.

Był tu stoliczek i kilka wyplatanych leżaków. Dora rzuciła się na jeden z nich, w najzaciśniejszym kątku stojący.

Postępek Pathańczyka zadziwił ją nieskończenie. Z natury nie była próżną i nie myślała nigdy o wrażeniu, jakie wywiera na innych. Pochłonięta zachwytem nad pięknością tego krajowca, nie zastanawiała się, że rozbudza jego namiętności, i teraz dopiero stało jej się to jasnem.

Nie można było wątpić o tem, po tym uścisku. Krótki był, jak błyskawica, ale zdradzał gwałtowną namiętność. I Dora z nagłem drżeniem serca pojęła, że ta wspaniała piękność może się stać jej własnością. W jaki sposób się to stanie? myślała, obracając w ręku złotą bransoletkę. A więc nowa zabawka! nowe studyum, i to jakie?

Wzrok jej w zamyśleniu pobiegł w przestrzeń ku zachodowi, tam, gdzie pławiąc się w słonecznej kąpieli, leżało krajowe miasto.

Miałażby wstąpić pomiędzy tych ludzi? Nigdy! A jednak, jak pięknym był ten chłopiec! Jak cudnie wyglądał z temi obnażonemi, wyciągniętemi ramionami! Jak klasyczną była linia jego torsu, jego giętkiej w tył cofniętej szyi; jaka słodycz w rozchyleniu tych karminowych ust, ukazujących równe, drobne i białe jak śnieg zęby.

I z jakim niewysłowionym, pokornym wdziękiem uwolnił ją z uścisku i puścił.

Wstała i poszła z powrotem do salonu. Rozchyliwszy fałdy zasłony, patrzała czas jakiś w głąb zacienionej alkowy, gdzie Pathańczyk siedział nieruchomo i pracował.

— Istny posąg! — szepnęła — istny posąg.

I miała słuszność. Gdyby kto zdjął jaką bronzową figurę z Watykanu i umieścił ją na tem indyjskiem tle, nie wyglądałaby inaczej.

Dora weszła do salonu, minęła go i znalazłszy się w alkowie, usiadła w pobliżu Pathańczyka.

To było wszystko; usiadła poprostu, jak siedziała przedtem, ale było coś w jej bezbronnej postawie, w jej uśmiechniętych oczach, co przemówiło wymownie do wrażliwej, bystrej inteligencyi młodzieńca. Wstał i zbliżył się do niej, a ona również powstała zwolna.

Pokornym, pieszczotliwym ruchem wyciągnął ramię i otoczył znów jej wiotką kibić, przyciągając ją zlekka do piersi. Głowę miał trochę w tył odrzuconą i z obawy, aby jej znów nie obrazić i nie utracić, tulił ją do siebie z jakąś niewysłowioną, miękką biernością, z jakimś wyrazem niemal nadziemskiego upojenia w oczach i nawpół rozchylonych ustach.

Prąd elektryczny wstrząsnął delikatną postacią Dory.

Stali w ten sposób czas jakiś, jak oczarowani, zaczynając pojmować wzajemnie, że się kochają.

Dora ocknęła się pierwsza z ekstazy i w obie dłonie ujęła rękę Pathańczyka. Z przykrością zauważyła, że ręka ta była twarda, szorstka i lepka od potu i brudu codziennej pracy. Ale ramię samo było gładkie i nieskazitelnie piękne. Dora powiodła po niem dłonią, lubując się tem dotknięciem, a Pathańczyk, oszołomiony tą mieszaniną chłodu i namiętności, stał wciąż biedny, nieruchomy, chociaż pokój kręcił się z nim dokoła.

— Mam coś dla ciebie — rzekła Dora.

— Nie chcę niczego. Nie wezmę niczego.

— Weź na pamiątkę tej chwili— rzekła Dora, opasując złotym wężem jego ramię i usta ich spotkały się w

długim pocałunku. Z jego strony był to pocałunek młodości, natury i porywu; ona nawet w owej chwili nie przestała być artystką i filozofką.

— Kocham cię — szepnęła, zapatrzona w jego przecudną twarz, opierając dłonie na jego torsie Apollina, a on odszepnął nizkim, błagalnym głosem:

— *Tumko bahut! bahut ashik karte. Tumko mangte.* (Kocham cię. Kocham cię ogromnie. Bądź moją).

Dora wysunęła się z jego objęć i wstrząsnęła głową.

— Nie jesteśmy mężem i żoną— odrzekła poprostu, nie próbując nawet udawać, że go nie zrozumiała, tak wszelkie europejskie konwenanse wydawały się tu nie na miejscu.

— To i cóż. Pobierzemy się!— odrzekł, pochylając znów ku niej swą pokorną, błagalną twarz.

Dora popatrzyła na niego i zaśmiała się.

— Niepodobieństwo!—odrzekła.

Pathańczyk przeszedł w milczeniu salon, do którego przez werandę lały się długie, złociste smugi słońca. W najciemniejszym kącie tego salonu stała szeroka otomana, pokryta jaskrawą, indyjską materyą. Hamakhan rzucił się na nią w całej długości, ramię podłożył pod głowę i, bokiem ku Dorze zwrócony, patrzył na nią roześmianemi oczyma.

— Przyjdź tu do mnie! przyjdź na chwilkę tylko — prosił, a ona śmiertelnie blada stała, oparta o ścianę i patrzyła na niego po przez osłonecznioną przestrzeń pokoju, ogarnięta straszliwą pokusą chwili. Jego młodość i piękność usprawiedliwiały, przynajmniej w jej oczach, jego zuchwalstwo. Zresztą Hamakhan zachowywał się spokojnie; młodzieńcza skromność nieświadomie trzymała na wodzy jego namiętność. Leżał bez ruchu i czekał.

Ale Dora, oczywiście, nie poruszyła się, aczkolwiek na jedno mgnienie oka kultura i konwenanse opadły z niej wobec tej pierwotnej natury, tak prostej, tak cudownie harmonijnej i promiennej.

Bardzo blada, oparła się jeszcze silniej o ścianę i odwróciła wzrok.

— Nie mogę przyjść — odrzekła.

Pathańczyk wstał w milczeniu, podniósł pąsową szarfę i owinął ją dokoła głowy. Dora nie spuszczała z niego oczu. Była w nim teraz jakaś poważna, spokojna godność, która ją onieśmielała.

— Odchodzisz? — rzekła. Nie skończyłeś jeszcze.

— Nie — odrzekł z cicha—przyślę innego, żeby skończył za mnie.

Zarzucił sobie pęk palmowych liści na ramię i wyszli oboje przez szereg pokoi na werandę, nie mówiąc nic do siebie.

Minęli zwolna obszerne, zacienione, bogato umeblowane i wysłane dywanami pokoje i wyszli na werandę, z której kilka tarasowych stopni wiodło na dziedziniec. Tu zatrzymali się i Pathańczyk, zwracając się do Dory, wyciągnął ku niej rękę, swobodnym, pożegnalnym ruchem.

— *Bas hai?* (Czy to wszystko)— zapytał, ujmując jej drobną dłoń, i składając na niej długi pocałunek.

Wyrzekł tylko te dwa słowa, ale był w nich wyrzut, sarkazm, pogarda i rezygnacya, i subtelne ucho Dory pochwyciło w lot wszystkie te odcienia, i rozklasyfikowała je natychmiast w nawykłym do podobnych różniczkowań mózgu.

Spłonęła rumieńcem, lecz nie rzekła nic i pozwoliła mu odejść w milczeniu. Poczem patrzała za nim, jak oddalał się, wysoki, prosty, jak trzcina, z głową dumnie wzniesioną. Głowa, tors były nieruchome, ale biodra kołysały się leciuchnym, falistym ruchem, gdy szedł. Chód Pathańczyków jest niezrównany, ma w sobie powagę, majestat, dumę, śmiałość, a przytem jakiś nieujęty, dziwnie zmysłowy wdzięk.

— Czemu ci, którzy starają się o moją rękę, chcą, żebym się nimi zachwycała, nie umieją chodzić w ten sposób? — myślała Dora, patrząc za oddalającą się postacią i ogarniała ją szalona chęć pobiedz za nim, jedynie dlatego, by raz jeszcze ujrzeć jego twarz, zwracającą się ku niej i głos jego usłyszeć!

Ale nie uczyniła tego i, gdy zniknął jej z oczu, poszła na górę do swego pokoju i, rzuciwszy się na szeląg, poczęła dumać.

Czuła jeszcze pulsowanie czerwonych znaków na policzku w miejscu, którego dotknęły jego usta. Zamknąwszy oczy, widziała wciąż przed sobą błagalnie wyciągnięte ramiona i uświadomiała sobie, że znalazła ludzką istotę, którąby mogła kochać, i że jej pozwoliła odejść.

Dalszy ciąg nastąpi.

Nasz Radca Miejski.

Nasz radca miejski jest wyjątkowo zapracowany. Reprezentuje aż trzy partye radykalne i dziesięć zrzeszeń zawodowych.

Pan radca na posiedzenia zjawia się zawsze punktualnie. Otwiera z hałasem swój stolik, wyjmuje bilanse, notatki, skrypty. Przegląda wszystko starannie, układa systematycznie. Nie należy jednak pytać go, jakie ma zdanie w jakiejś sprawie, gdyż wprowadzi się nieboraczka w kłopot. Teraz już po kilku posiedzeniach zdobywa się niezręcznie na gotową odpowiedź:

— Przecie tego niema na porządku dziennym!

Obowiązany jest jednak nasz radca zabierać głos w różnych sprawach: Od czegóż go wybrały aż trzy partye i dziesięć zrzeszeń zawodowych! I to jest jego torturą, przez którą przechodzi z bohaterstwem i samozaparciem.

Każda partya dostarcza mu na kartkach swoje opinie do przedłożenia. Pan radca temi opiniami ma wyładowaną kieszeń i portfel. Numeruje te zgłoszenia specyalny delegat, który w kuratelі trzyma naszego radnego i z loży dziennikarskiej wpływa na jego wystąpienie.

Gdy przewodniczący wstanie i odczyta porządek dzienny, wnet zerwie się nasz radca na komendę opiekuna i cienkim dyszkancikiem zawoła:

— Prosz ę o głos w sprawie formalnej. Przewodniczący udziela głosu, lecz po chwili pozwolenie cofa, gdyż szanowny radca pomylił się w swoich wywodach:

— To nie jest kwestya formalna.

Nasz radca nie sprzecza się, siada i po cichu mówi swemu opiekunowi:

— Nie udało się. Trudno.

— Pamiętaj pan choć o swojej mowie w kwestyi merytorycznej.

— Pamiętam. Mam ją w kieszeni. — Za chwilę rozpoczyna się omawianie merytoryczne sprawy. Nasz radca jest zapisany do głosu. Wyjdzie znów, nerwowo biegnąc na trybunę. Stanie i powie:

— Panowie Rada! Panowie Radni!

Szuka, szuka czegoś po kieszeniach. Wyjmuje pliki kartek. Przekłada je, porządkuje i znów zawoła:

— Panowie Rada! Panowie Radni!

Nie może jednak znaleźć swojej mowy.

— Ja zaraz powiem. Zostawiłem w stoliku.

Biegnie do stolika od trybuny, zrozpaczony, gdyż przewodniczący już wezwał innego radcę do głosu.

Opiekun irytuje się: Gdzie pan podział swoją mowę?

— Miałem ją w kieszeni.

— Taka fajna mowa. Przez dwa dni pisało ją trzy partye i dziesięć zrzeszeń zawodowych!

Nasz radca miejski plik kartek oddaje opiekunowi. Ten rzuca się na nie, jak na żer. Segreguje, porządkuje:

— No przecież jest wszystko. Czemu pan nie mówił?

— Pomyliły mi się kartki!

Firlej.

Z literatury.

Księża powstańcy 1863 r.

P. Józef Stanisław Pietrzak wydał bardzo interesującą książkę, omawiającą udział w walkach o niepodległość księży. Specyalnie rok 1863 spotkał się z wyczerpującem opracowaniem. Szkoda tylko, że praca p. Pietrzaka przez zbytnią gorliwość religijną obniża lot patryotyczny takich świetlanych postaci, jak ksiądz Brzózka. Stanowisko kościoła względem takich postaci deklaruje się dopiero po wiekach. Tak było z Joanną d'Arc! Pocóż więc cytować zdanie połowiczne, które rzuca cień tak na bohaterską postać, jak i na niezdecydowanie kościoła. Książka p. Józefa Stanisława Pietrzaka jest krwawym dokumentem martyrologii naszych kapłanów. Czytać ją można tylko przez łzy.

Męczennicy polscy.

P. Marya Łopuszańska napisała popularną książeczkę o martyrologii polskich działaczy politycznych i społecznych wieku dziewiętnastego. Waleryan Łukasiński otwiera tę okropną listę, a kończy się ona nazwiskiem Okrzei, choć właściwie i nazwisko Montwiłła znaleźć się na niej winno. Książeczka p. Łopuszańskiej napisana jest gorąco i może przemówić do jaknajszerszych mas. Jest wprawdzie trochę jednostronna, ale rzecz ta zapewne wygląda tak nie z winy autorki.

Wyrok audytoryatu w sprawie Rządu Narodowego w 1864 r.

Adwokat przysięgły, Henryk Cederbaum, odnalazł kopię wyroku w sprawie dyktatora powstania, Romualda Traugutta i podał go w przekładzie na język polski wraz z dopiskami, które prostują i wyjaśniają różne określenia, jak i fakty zawarte w tym wyroku. Wyrok stale mówi o „Złoumyszlennikach", „miatieżniczeskoj szajkie". Konfimacya, podpisana przez generał-adyutanta hrabiego Berga, z pośród 15 oskarżonych i skazanych na śmierć wybrała tylko pięciu, by na nich wyrok wykonać. Wyrok audytoryatu pełen jest sprzeczności, niejasności, brak w nim motywów, popartych dowodami.

Dokument ten, którego krwawą treść wspominamy od pół wieku ze zgrozą, godzien jest poznania. Zainteresuje on bezwzględnie każdego świadomego polskiego obywatela.

Kurs pedagogiki.

Prof. Władysław Maryan Borowski wydał część pierwszą swego Kursu pedagogiki. W ramach tej części zamknął wykład psychologii wychowawczej. Uważa on, że „żaden wykształcony pedagog, mający szeroki widnokrąg swojej pracy zawodowej, nie może się obejść zarówno bez znajomości fizyologii i hygieny, jak i psychologii dziecka". Prof. Borowski psychologię swoją wychowawczą opiera na twierdzeniu: „ponieważ życie umysłowe dziecko rozpoczyna od wrażeń zmysłowych, które są podstawą wszystkich późniejszych wytworów myśli, więc należy bardzo starannie dbać o dostarczanie odpowiedniego materyału do tego rodzaju postrzeżeń". I przypuszcza, że „dziecko systematycznie winno się ćwiczyć w analizowaniu przedmiotów, porównywaniu i postrzeganiu ich cech wspólnych" (Str. 171). Kurs psychologii wychowawczej, jako podręcznik, ułatwi pracę zarówno uczniom, jak i profesorom w seminaryach nauczycielskich. Wykład jasny i przystępny pozwala łatwo na przyswojenie sobie całego niezbędnego materyału naukowego i systematycznie wprowadza ucznia w świat pojęć psychologii i pedagogiki. Kurs ten wyszedł, jako tom V Biblioteki nauczyciela.

Gdzie prawda.

Nieufność ludu do inteligencyi, sztucznie podsycana i hodowana przez dawne rządy, i w czasie obecnym istnieje jeszcze. Odczuwają to przedewszystkiem działacze społeczni na prowincyi, których dobre chęci i wysiłki spełzają często na niczem właśnie wskutek tych dawnych ran, dawnych uprzedzeń. Wśród ludu krążą fantastyczne bajki o powrocie pańszczyzny, o odebraniu ziemi, wrazie nastania „pańskich", to jest polskich, rządów. Z temi bajdami walczy broszura p. M. Brzezińskiej p. t. „Gdzie prawda". Napisana z werwą, swadą i dużem ciepłem, napewno przemówi do szerokich mas z dobrym skutkiem. Niewątpliwie wszyscy stykający się z ludem wezmą pod uwagę tę książeczkę, gdyż nadaje się ogromnie do szerokiego rozpowszechnienia na prowincyi.

Elementy filozofii, jako nauki ścisłej.

P. Benedykt Bornstein zbogacił znów swój dorobek naukowy cenną pracą p. t. „Elementy filozofii, jako nauki ścisłej". Praca składa się z trzech rozpraw: część pierwsza zawiera analizy pojęć „ruchu, przestrzeni, nieskończoności", część druga rozpatruje złudną przeciwstawność logiki i intuicyi", część zaś trzecia wykreśla stosunek nauki do filozofii. P. B. Bornsteinowi chodzi o to, że „filozofia staje się nauką, że zdobywa sobie pewien system prawd objektywnych, niewzruszonych, ostatecznych i że w ten właśnie sposób staje w rzędzie nauk, co więcej, w pierwszym ich rzędzie, staje się ścisłą nauką, nauką, która zawiera nie przypuszczenia, nie poglądy — lecz prawdy" (Str. 224). Książka p. Bornsteina nie dostępna jest dla laików. Czytać ją mogą z pożytkiem tylko ludzie wykształceni w matematyce i filozofii. Zapewne wywoła ona dyskusye specyalistów, jak zresztą wywoływały dotąd wszystkie prace p. Bornsteina, dzięki oryginalności i śmiałości sądów.

Warszawa i jej okolice w czasach przedhistorycznych.

Polskie Tow Krajoznawcze krząta się bardzo energicznie w celu zbogacenia naszego dorobku w dziedzinie poznania ziemi naszej rodzinnej. Szczególnie Warszawie poświęca się wiele miejsca, choć i wszystkie inne okolice nie pozostawia się odłogiem. Obecnie znów „Warszawie i jej okolicom w czasach przedhistorycznych" poświęcono pięknie napisaną broszurę z ilustracyami p. Romana Jakimowicza. Na skrzętnie zebranym materyale archeologiczno-kopalnym rozsnuwa przędzę hipotez p. Jakimowicz i w konkluzyi swojej przychodzi do przekonania, że „z tego materyału, który zachował się, widzimy, iż na terenie Warszawy w czasach przedhistorycznych różnie bywało, że raz osadnictwo było nieliczne, to znów wzmagało się, powstawały ludne osady i to w czasach, gdy stosunki między wschodem i zachodem wzmagały się". Tak było na schyłku epoki bronzowej i na początku żelaznej, tak też było na schyłku czasów przedhistorycznych, gdy przez Mazowsze prowadziła droga czy to handlowa, czy osadnicza na Podlasie i dalej na Ruś, droga handlowa aż do Azyi. A punkt warszawski musiał być dogodnym, skoro tu przeniesioną została siedziba książęca a potem i stolica".

Broszura p. Jakimowicza zasługuje na szerokie rozpowszechnienie.

Podręcznik ekonomii.

Do użytku szkół średnich w Polsce napisał znany ekonomista, p. Henryk Radziszewski, krótki, rzeczowy podręcznik ekonomii politycznej. Podręcznik ten odznacza się jasnością i przystępnością wykładu. Prace polskich myślicieli społecznych wykorzystał p. Radziszewski, wiążąc nasze wysiłki na tem polu we wspólny rytm badań ogólno-ludzkich. Gdy zjawi się ten podręcznik w całości, będzie można krytycznie omówić jego wartość. Na razie jednak zanotować wypada, że ten pierwszy zeszyt zaleca się już wytrawnością sądu i rzeczowem opracowaniem. Dla średnich szkół polskich jest to zdobycz pomocnicza duża.

Psalmy wiosny i nadziei.

P. Stanisław Bąkowski wydał prozodyjny hymn swojego modlitewnego nastroju p. t. „Psalm wiosny i nadziei". Korzy się w nim przed Panem i błaga o litość dla naszych pól i miast. I woła: „Ziemia nasza, Panie, chociaż w połowie pobojowiskiem jest, cała dziś krasę wiosny odziewa". A serce p. Bąkowskiego pełne nadziei w lepsze jutro modli się: „A dusze, nasze polskie dusze, Panie, jak kraj ten nasz długi i szeroki, smęcą się i boleją, choćby najcudowniejszym urokiem przestworza otoczone". Okrzyki tego rodzaju powtarzają się po przez cały psalm. Posiada on tylko wartość, jako dokument indywidualny p. St. Bąkowskiego.

Za pozwoleniem niemieckiej cenzury wojennej.

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ow

K.U.L.